

Nysa, październik 2002 r.

Wspomnienia z klasztoru Franciszkanów w Nysie, od roku 1940 do roku 1945; spisane po 60 latach.

Urodziłem się w województwie poznańskim w 1921 roku. Po zajęciu przez Niemców województwa poznańskiego w 1939 roku, zaczęto natychmiast wywozić ludzi zdolnych do pracy na roboty przymusowe do III Rzeszy. Nie ominęło to również i mnie z trójką mojego rodzeństwa. W Nysie znalazłem się dzięki znajomościom **br. Rajmunda [Kasperczyka]** z klasztoru w Goruszkach, który po rozwiązaniu przez Hitlerowskie władze klasztoru w Goruszkach znalazł się w Nysie. Stąd też, na zapotrzebowanie złożone przez oo. Franciszkanów z Nysy na „Zwangsarbeitera” do Arbeitsamtu (Biura pracy) w Rawiczu, zostałem skierowany pod wskazany adres. Proszę sobie wyobrazić, kiedy rusza się w podróż nie umiając ani słowa po niemiecku. W Rawiczu sprzedano mi bilet na dwie osoby, a przecież ja jechałem sam. Jakaś poczciwa dusza - był to konduktor pociągu- , który zorientował się w Nysie na stacji, że niepotrzebnie zapłaciłem za dwie osoby zaczął ze mną jednostronną dyskusję, chcąc mi zwrócić koszt za jeden niewykorzystany bilet kolejowy, tj. 6,20 DM. Z pomocą podszedł do nas jakiś obcy młody człowiek i pomógł się nam porozumieć. Można by było tego uniknąć, gdyby **br. Dionizy [Wagner]** był punktualnie na dworcu kolejowym w Nysie, a miał On być w habitie i mnie odebrać. Ale on się solidnie spóźnił. Spotkałem go idąc w kierunku klasztoru, pod wiaduktem kolejowym. Dalej szliśmy już razem. Niosąc niepokazaną walizkę z rzeczami doszliśmy do Klasztoru. Zaprowadził mnie na stację w gospodarstwie i odszedł. Brata Rajmunda wtedy nie było w Nysie. Z moim bezpośrednim szefem **br. Godfrydem [Böhnigk]** zaczął się tego dnia okres, który trwał dla mnie w nyskim klasztorze 1.715 dni.

Na drugi dzień zaczął się koszmar językowy, ale tak powoli zaczęło się stopniowo układać dość dobrze. Wyrwany z domu od rodziny, od matki, bardzo tęskniłem. Trudno było żyć w obcym dla mnie środowisku samotnie, ale nie było odwrotu. Od samego początku wiedziałem, że trzeba będzie natychmiast zacząć uczyć się języka niemieckiego, co mi później bardzo ułatwiło życie. Wkrótce zaczęło się normalne życie wśród ludzi obcych, którzy w krótkim czasie stali się moimi bliźnimi i życzliwymi braćmi.

Klasztor OO. Franciszkanów w Nysie w tym czasie był bardzo dobrze zorganizowany. Posiadał wszystkie działy gospodarcze bardzo dobrze prowadzone. W tych latach było tam średnio od 8 do 10 ojców, oraz od 13 do 15 braci oraz od 6 do 8 pracowników cywilnych. Przez całe te pięć lat mojego pobytu przełożonym klasztoru (gwardianem) był **o. Beno [Sonsalla]**. W mojej ocenie był to człowiek rozważny i pogodny. Ja praktycznie nie miałem z nim wiele kontaktu, ponieważ moim bezpośrednim przełożonym był Br. Godfryd. o. Beno, gdy Go jednak okazjnie spotykałem na terenie klasztoru, za każdym razem wykazywał duże zrozumienie dla mojej sytuacji. Pamiętam, że kiedyś poprosił mnie do siebie i ofiarował dwa filmy 6x9 do starego typu aparatu fotograficznego. **O. Eberhard [Jakob]** pochodzący chyba z Wrocławia, proboszcz parafii wojskowej oraz kapelan wojskowy, oficer w randze majora, był to bardzo żywotny człowiek o silnej osobowości, ale też bardzo zapracowany. W czasie gdy przez Nysę przechodził front, był poza Nysą. Jego to spotkałem jeszcze jedyny raz po wojnie w klasztorze w Nysie. Pomimo tej tragedii jaka stała się po rozstrzelaniu Jego współbraci przez żołnierzy radzieckich 24 marca 1945, starał się utrzymać zawsze równowagę ducha. Później wyjechał do Niemiec – zmarł 21 lutego 1952 roku w Bad Pyrmont, pochowany został w Ottbergen. Do roku 1943 wojsko niemieckie (katolicy) przychodziło bardzo często w szyku zwartym do naszego kościoła na Mszę św. Kościół pw. Św. Elżbiety w Nysie był wtedy Katolickim kościołem garnizonowym. o. Benedykt [Engelhardt] pochodzący z Prus Wschodnich był proboszczem parafii. Postać spokojna, cicha, „pracująca mrówka”. Jak

stare przysłowie mówi „Serce na dłoni”. On to udzielił mi w Nysie sakramentu bierzmowania. Po wojnie spotkałem go w Nysie kilka razy, później wyjechał do Niemiec (NRD). Zmarł 12 czerwca 1970 roku w Erfurcie, pochowany został w Dingelstädt.

o. Wiktor [Neubauer] – Tyrolczyk- zawsze pełen humoru, uśmiechnięty, znający dużo dowcipów. Często był na zastępstwach w parafiach. Dobrze grał na organach, ale jeszcze lepiej śpiewał dobrym basem w naszym chórze parafialnym. Opuścił Nysę udając się do ukochanego Tyrolu przed nadejściem frontu.

Pozostali: o. Cyryl, o. Anzelm [Piefke], o. Gaudenty [Strzybny], to starsi ojcowie, ale do końca sprawowali swoje obowiązki kapłańskie. Czasem pojawiali się na krótko w klasztorze ojcowie przyjezdni, ale na krótko.

Natomiast braci było wtedy znacznie więcej:

br. Godfryd Boehnigk – pochodził z Iławy (Prusy Wschodnie),

br. Rajmund Kasperczyk – pochodził z Kochłowic,

br. Ferdynand Fluder – pochodził z Ostrowa Wielkopolskiego,

br. Dionizy Wegner – pochodził z Nowego Tomyśla,

br. Kazimierz Froncek – pochodził z Kochłowic.

Wymieniona piątka braci wraz z o. Benno zostali pod koniec wojny rozstrzelani przez wojska radzieckie.

br. Maurus [Kaminski] – kucharz,

br. Lucjusz [Kandora] – ślusarz-mechanik,

br. Edward [Mansfeld] – stolarz-szyncer,

br. Joachim [Krupop] – szewc, pochodził z Przywórk Opolskich,

br. Marcin [Sobiela] – kucharz,

br. Serafin [Dziendziol] – furtian,

br. Pankracy [Syrzisko] – młynarz.

Pozwolę sobie trochę szczegółowiej wspomnieć o wymienionych braciach zakonnych, bo przecież z nimi wspólnie przeżyłem 5 lat. Oceniam tych ludzi po 60 latach, a zatem jest to moja osobista ocena, człowieka dojrzałego. Moi znajomi bracia zakonnicy byli przecież też tylko ludźmi. Każdy z nich to indywidualna jednostka o swoistym charakterze. Łączyło ich wszystkich i częściowo mnie wspólne życie klasztorne, które łagodziło czasem nasze niesforne rogacie dusze. W sumie chyba wszyscyśmy się lubili.

Nadmieniłem wcześniej o organizacji klasztoru. W czasie wojny w części klasztoru znajdowało wojsko niemieckie. Była to kompania rekonwalescentów, którzy dochodzili do zdrowia po tym jak przeszli leczenie w szpitalu frontowym., oraz mała elitarna jednostka - „Wojskowy Sąd Polowy”, w liczbie około 10-12 osób. Dla mnie byli to niechciani przymusowi lokatorzy – sąsiedzi. Zajmowali oni też dawne boisko sportowe oraz salę gimnastyczną (dzisiaj jest bardzo zniszczona). Myślę, że klasztor chyba dobrze znosił naszych sąsiadów-lokatorów, ponieważ żołnierze tej jednostki bardzo często pomagali nam w pracach polowych czy też w ogrodzie. A my świadczyliśmy dla nich drobne usługi transportowe. Nie wiem i nie znam, jakie tym było rozliczenie wewnętrzne, opał, woda, transport itd.

Porządkiem w domu zajmował się **br. Marcin [Sobiela]**, ponieważ wtedy obowiązywała na terenie całego klasztoru klauzura. br. Marcin był bardzo lubianym gawędziarzem, więcej włóczęgą niż podróżnikiem. Był też i niezłym kucharzem. Często gawędził ze mną i opowiadał jak do przed I wojną światową chodził pieszo z Nysy do Wielunia, do Częstochowy, na Górę Św. Anny i do Nysy z powrotem. A były to bardzo długa trasa (ciekawym jestem, który o. Gwardian dawał jemu wtedy taki długi urlop). On też przeżył w Nysie te ciężkie czasy po wkroczeniu armii radzieckiej do Nysy. Całkowicie przypadkowo został ocalony. Być może żołnierzowi sowieckiemu, który chciał Go rozstrzelać zaciął się automat, albo brakło naboju, albo też zadowolony się zegarkiem kieszonkowym, który znajdował się pod kołnierzem (kapturem) habitu? Po tym ocaleniu jedynym wyjściem dla br. Marcina było

- uciekać na Górę Św. Anny. Po wojnie, w czerwcu 1945 roku, kiedy dobrowolnie wróciłem do Nysy poszedłem do klasztoru i jako pierwszego spotkałem naturalnie Br. Marcina. Był on wówczas tylko najprawdopodobniej wraz z o. Paschalisem [Noglik] jedynym mieszkańcem klasztoru. Nieopisana radość i zdziwienie było spotkać się po takich przeżyciach. Wtedy to w klasztorze była bieda. Brat Marcin poprosił mnie do kuchni, bo byłem bardzo głodny i poczęstował o dziwo ziemniakami z pieczeńią. Była to pieczeń z konia (czyli konina). Pasący się koń na trawie nad rzeką wszedł na minę i go rozerwało. Wtedy to przedsiębiorczy Br. Marcin przyniósł całe udo końskie i bardzo smacznie je przyrządził. W późniejszym czasie bardzo często odwiedzałem br. Marcina w Głubczycach. Wspaniały człowiek, dobry zakonnik, znający również mojego wujka br. Oswalda [Niedźwiedź] *ur. 10.04.1878 r. w Ugodzie, diecezja Poznań*, który to przez I wojnę światową wstąpił do Franciszkanów i odbywał swoją formację zakonną w Nysie. On to, czyli mój wujek, br. Oswald, po I wojnie światowej przeszedł do prowincji w Panewnikach i tam zmarł w 1944 roku. A zatem mogę powiedzieć, że kontakty rodzinne z klasztorem OO. Franciszkanów w Nysie istniały już dawniej.

Br. Rajmund, ogrodnik, był starszym bratem przybyszem z Goruszek (prowincja Panwniki), dobrym fachowcem, znający swój zawód. Praktycznie w tym ogrodzie zawsze miał sporo zajęć. Brat mało mówiący, zawsze trochę zamyślony, dobrze grający w skata. Był on człowiekiem obowiązkowym. Jego też nie oszczędziła ta tragedia w czasie frontu. W częstej rozmowie ze mną mogłem odczuć, że bał się zbliżającego frontu, tej wojny. Może doświadczenie życiowe sprawiło, że kierowało nim dziwne odczucie. Zawsze bardzo mile wspominał swoje ukochane Panewniki. Dzięki jego sumiennej pracy nasza kuchnia zawsze miała pod dostatkiem warzyw i owoców. W kościele prawie nigdy nie brakowało kwiatów z naszego ogrodu.

Bracia Maurus i Ferdynand zatrudnieni byli w kuchni. Brat Maurus człowiek średniego wieku, pogodny, zrównoważony i zawsze uśmiechnięty. Z nim to wypadło nam, po częściowej ewakuacji z klasztoru, udać się na tułaczkę, która trwała od 20 marca 1945 roku do końca wojny (9 maja) do miejscowości Ramsau k. Jesennika (obecne Czechy). Do tego momentu jeszcze wrócę. Brat Ferdynand był bardzo spokojny, mało wychodził poza teren klasztoru, robił wrażenie człowieka nieśmiałego. Poza pracą w kuchni, jeden dzień w tygodniu w klasztornej piekarni wypiekał chleb. Ta piekarnia istnieje do dnia dzisiejszego. Brat Ferdynand bardzo często po kryjomu dokarmał głodnych radzieckich jeńców wojennych. Byli zatrudniani jako siła robocza dla potrzeb armii niemieckiej. Br. Ferdynand podkładał im na drodze do pracy (na zapleczu ogrodu) resztki obiadu i zawsze cały bochenek chleba. Aby jedzenie zostawało gotował wtedy celowo więcej. Wachmani niemieccy najczęściej to tolerowali. Robił to zresztą bardzo skrycie. Tragiczna postać: Po wkroczeniu wojsk radzieckich do klasztoru w Nysie, to br. Ferdynand właśnie jako pierwszy z zakonników został zamordowany przez czerwonoarmistów. Rozmyślam dzisiaj jak to się sprawdziło: „Rzuć we mnie kamieniem, a ja w ciebie chlebem”.

Br. Joachim z Przywór Opolskich był z zawodu szewcem. On to razem z nami wyjechał na tułaczkę do Czech. Miał bardzo dużo humoru, bardzo aktywna postać. W czasie ostatnich lat wojny 1944-1945 był zatrudniony w wojskowych warsztatach szewskich. Było to o dla nas bardzo wygodne, ponieważ zaopatrywał nas (zakonników i mnie) w dobre skórzane obuwie. Z bratem Joachimem rozstałem się w Przyworach Opolskich dnia 20 maja, po powrocie z ewakuacji.

Br. Kazimierz – kościelny, spokojna to postać kręcąca się zawsze przy kościele, niski, szczupły ale zwinny. Mało jego znałem. Również On został rozstrzelany w dniu 24 marca 1945 roku.

Br. Lucjusz, starszy brat, mechanik, ślusarz, kowal. Zawsze, kiedy nam wypadało podkuwać konie strasznie narzekał. Może to wynikało z tego, że dla starszego człowieka jest

to ciężka praca. Ale robił to bardzo dokładnie. Zastanawiam się nad tym, że nie spotkałem go już po wojnie, bo on przecież ocalał, ale na pewno już wtedy pracował z O. Anzelmem u sowietów na gospodarstwie Hoffmanna (obecnie nie istnieje a znajdowało się w pobliżu klasztoru przy obecnej ul. Franciszkańskiej).

Br. Pankracy był młynarzem, człowiek zamknięty w sobie, mało mówiący, a może nawet trochę złośliwy. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację. Wtedy, kiedy nie umiałem po niemiecku mówić ani też niewiele rozumiałem, mój przełożony br. Godfryd kazał mi zrobić następującą rzecz po niemiecku powiedział do mnie: „Weź konie i dwa wozy i jedź do gazowni, będziesz woził koks do centralnego ogrzewania. Zostaw te wozy w gazowni i jedź do kowala podkuć konie. Później jedź do gazowni powrotnie i zacznij wozić ten koks. Koks ładował ręcznie w gazowni br. Dionizy. Godfryd nie znał języka polskiego. Ja zaś tak trudnego i skomplikowanego polecenia wypowiedzianego po niemiecku nie rozumiałem. Wtedy kiedy już byłem zrozpaczony i bliski płaczu, podszedł do nas br. Pankracy i spokojnie mi to przetłumaczył. Nie zapomniał dorzucić mi uszczypliwej a może nawet złośliwej uwagi: „ucz się niemieckiego”! Brat Godfryd skwitował to ostrym spojrzeniem w jego stronę. A może po prostu nie lubił Godfryda. Br. Pankracy nie miał dużo zajęć w młynie, dlatego też często pomagał w ogrodzie albo w gospodarstwie.

Br. Gottfrird Boehnigk pochodził z Prus Wschodnich. Mój szef bezpośredni, szef gospodarstwa i zaopatrzenia całego domu. Człowiek noszący okulary, wiekiem ponad 60 lat, o zimnej i lodowatej twarzy. Bardzo dokładny, punktualny, dobry fachowiec. W tej obojętnej twarzy tkwiła dobra i szczerza dusza. Po bliższym poznaniu można było go polubić, gdyż był człowiekiem rozsądnym i życzliwym. My - pracownicy świeccy gospodarstwa - lubiliśmy go i poważali, ale czuli też przed nim respekt.

Gospodarstwo rolne liczyło około 20 ha. Przebywało nas tam w sumie 6-7 cywilnych pracowników. Każdy miał wyznaczoną pracę na stałe. W razie prac szczegółowych, takich jak omłoty, zbieranie ziemniaków dochodziła pomoc z zewnątrz – młodzi bracia z klasztoru i jednostki wojskowej, nasi sąsiedzi żołnierze. W przydziale pracy mnie przypadło pracować w polu koźmi, zaopatrywać dom w koks oraz inne artykuły. Ktoś inny opiekował się naszym stadem bydła, karmieniem, pojeniem- czyszczeniem i dojeniem (15 krów). Inny pracownik klasztoru - Max Hoesch z dochodzącym pomocnikiem Józefem Urbanem zajmował się dużym stadem trzody chlewnej, liczącej średni 180 sztuk. Zaś Maria Heisig zajmowała się obsługą drobiu. Było ponad 100 sztuk kur niosek. Hodowano też małe stado kaczek rzeźnych. Nad sprawnością tego gospodarstwa czuwał zawsze Br. Godfryd. Czy to była dla mnie praca ciężka? W tych czasach w rolnictwie była to dla każdego ciężka praca. Przecież robiło się wszystko ręcznie. A w polu były ona wyjątkowo ciężka. Kiedy się ma 20-25 lat, i ma się dostatecznie racjonalne odżywianie można to zadanie łatwo wykonać. Rano wstawaliśmy o godz. 5⁰⁰ – 5³⁰. Pracownicy cywilni nie chodzili na śniadania do klasztoru. Organizowałem je sobie w moim pokoju. Prowiant na śniadanie pobierałem z kuchni, a świeże mleko z obory. Po zaopatrzeniu koni, tzn. karmieniu i czyszczeniu, co trwało około 2 godzin, zaczynałem punktualnie pracę. Jakkolwiek spóźnienie nie miało miejsca, bo gdyby mnie tak dopadł Br. Godfryd mogło być wtedy bardzo groźnie. Od godz. 12⁰⁰ do 13⁰⁰ jedliśmy obiad w jednym z pomieszczeń piwnicy klasztoru. Jedzenie nie było wydzielane (porcjowane), a było dobre i smaczne. Kolację też tam jedliśmy. Natomiast w czasie wielkich świąt kościelnych, spożywaliśmy posiłki w refektarzu wspólnie z braćmi. Z tego gospodarstwa odstawialiśmy, w ramach (kontyngentu) nakazu, nadwyżki mleka, buraki cukrowe oraz ziemniaki. Bardzo rzadko trzodę chlewną. Ponieważ br. Godfryd miał bardzo dużo zajęć poza gospodarstwem, stawialiśmy się praktycznie samodzielnymi pracownikami. Po opuszczeniu naszego gospodarstwa w marcu 1945 - zostawiliśmy je w kwitnym stanie. Zabierając tylko wóz i konie udaliśmy dnia 21 marca 1945 roku w drogę do obecnych Czech. Nigdy do tego gospodarstwa już nie wróciłem.

Br. Dionizy Wagner z panewnickiej prowincji. Z nim wspólnie przeżyłem najwięcej czasu. Prawie do każdej większej pracy w polu był przydzielany mi do pomocy przez br. Gotfryda.. Bardzo ciekawy młody człowiek. Klasztor był dla niego azylem życiowym, a habit odzieniem przetrwania. Do rygoru i modlitwy nie skory, wolał być w gospodarstwie, bo tam miał spokój i chętniej korzystał z pokoju na terenie gospodarstwa aniżeli z celi klasztornej. On to zawsze przekonywał mnie, że wolność może przyjść tylko ze Wschodu. Nie wiem skąd miał te wiadomości i oczekiwania. Po skończonej wojnie zamierzał zostać w Nysie burmistrzem. Ja jemu zawsze mówiłem, że najpierw trzeba tę wojnę przetrwać. Z nim też jako ostatnim bratem pożegnałem się w schronie (pod biblioteką) w dniu 23 marca. Pożegnaliśmy się jak dwaj bracia, ja z nadzieją, że On dojedzie do naszego transportu do Kałkowa, a on z nadzieją, że przeżyje tą okrutną wojnę. Niestety został rozstrzelany przez Sowietów w drugiej kolejności wraz z o. Beno. Był to jeden z najmłodszych braci. Po powrocie do mego rodzinnego domu w poznańskim, w czerwcu 1945 roku, przypadło mi zawiadomić jego rodzinę o tym tragicznym morderstwie. Nie wiem, co go skłoniło, iż nie pojechał z nami. To pytanie stawiam dzisiaj nie tylko jemu, ale i pozostałym braciom?

Bracia: Maurus i Joachim oraz ja wyruszamy 21 marca 1945 roku w drogę. A tak nam dotychczas spokojnie płynęło życie: z dala od frontu i wojny. Niestety zaczęły do nas docierać niepokojące wieści z wojny. Część ojców i braci byli jako żołnierze w tę wojnę przymusowo wciągnięci. Przyjeżdżając na urlop dzielili się aktualnymi wieściami o tej totalnej wojnie. Jeszcze w roku 1944 władze hitlerowski zaczęły sięgać po ostatnie rezerwy ludzkie do klasztoru. Brata Godfryda zaciągnięto do Volkssturmu pod koniec 1944 roku. W całym klasztorze go brakowało. Nie ruszano młodych braci z prowincji Panewnickiej, gdyż nie mieli obywatelstwa niemieckiego, choć urzędnicy wiedzieli o ich pobycie. W sierpniu 1944 roku zostałem wytypowany do kopania okopów do Generalnej Guberni, w rejonie Częstochowy. W gospodarstwie w Nysie z różnymi efektami i skutkami zastąpił mnie Br. Dionizy. Przy kopaniu okopów było różnie. Ja znalazłem się wspólnie w jednej brygadzie ze słynnym i znanym szeroko w Nysie malarzem Łukaszem Mrzyglodem. Ten człowiek w podeszłym wieku był wcześniej franciszkaninem. Urodzony w Paczynie k. Raciborza. W latach 1910-1917 namalował bardzo dużo obrazów religijnych, zdobiących wiele kościołów na terenie woj. opolskiego. Po wyjściu z klasztoru założył rodzinę. Zmarł w 1956 roku. Przez całe życie utrzymywał ciepłe kontakty z klasztorem w Nysie. Był to wspaniały człowiek. Miałem okazję podczas kopania okopów wyręczać go z tej ciężkiej pracy fizycznej. Był mi za to bardzo wdzięczny, do końca jego życia odwiedzałem go w Nysie przy Geerstmanstraße (ul. Żeromskiego). Jest pochowany w Nysie na cmentarzu „Jerozolimskim”, tuż obok poety Eichendorfa. Żona Jego Maria z rodziną wyjechała po jego śmierci do Niemiec. Warunki (na okopach) były bardzo trudne. Spaliśmy w stodołach. Było zimno, bez wody i słaba stołówka wojskowa. W dzień dokuczały samoloty radzieckie, a w nocy partyzantka polska. Wróciłem do klasztoru w Nysie w końcu września. Była to ostatnia spokojna jesień w tym okresie. Letnia ofensywa wojsk radzieckich nad Wisłą odbiła się echem i u nas. W tym czasie Niemcy sięgają po ostatnie rezerwy materialne. Zaczęli ściągać dzwony z wież kościołów w Nysie. Ściągnięto również 2 dzwony z naszego kościoła. Dawnej były trzy, pozostał tylko jeden. Smutny był to dzień, kiedy to stały te dwa dzwony obok kościoła przy cmentarzu i czekały na transport, aby być przetopione. Ściągnięto też z dachu kościoła dość dużo blachy miedzianej, zastępując ją blachą ocynkowaną. W klasztorze można było odczuć narastającą atmosferę niepewności. Nad Nysą zaczęły pojawiać się eskorty samolotów angielskich bombardujących Kędzierzyn.

Nadszedł wreszcie styczeń 1945 roku, w klasztorze coraz cięższa i bardziej smutna atmosfera, ale jesteśmy wszyscy w komplecie, wszyscy razem. Dnia 29 stycznia Sowietci zatrzymują się nad Odrą, ale ich czołwka podchodzi aż do Grodkowa-Kopic. Ja w tym dniu wraz z całym wyposażeniem (wóz i konie) zostaję zajęty przez stacjonującą w klasztorze elitarną jednostkę

„Sąd Polowy”. Wyruszamy w drogę, czyli uciekamy przed frontem, zostawiając cały dom wraz ze starszymi braćmi i gospodarstwo, bez środka lokomocji. Nasz cel, to jak najdalej od frontu. Wiozę na tym wozie ważne dokumenty wojskowe. Transport nasz był dzień i noc strzeżony przez wojskowych. Ciężka to była droga, zimno od -14° do -18° C, bardzo dużo śniegu. Drogi wąskie pełne uciekinierów udających się do Czech lub na Zachód. Po paru dniach, oddalając się od Nysy osiągnęliśmy nasz cel, Nową Rudę (Neurode). Pomijam szczegóły tej ewakuacji, chociaż pamiętam każdy jej szczegół. Stale dopominałem się od mego szefa możliwości powrotu do Nysy. Byłem w drodze chyba cały miesiąc. Opiekowałem się tylko końmi. W końcu lutego dostałem (Marschbefehl) nakaz wyjazdu do Nysy. Sąd polowy przeniósł się do Šumperka (Czechy), jadąc tam wypożyczonym samochodem. Z Nowej Rudy końmi klasztornymi wyjechałem z rana. Późnym wieczorem byłem już w Nysie. Jechałem przez Kłodzko, Bardo Śląskie i Kamieniec Żąbkowicki. Jadąc w kierunku frontu byłem nękany przez nadlatujące pojedyncze samoloty radzieckie. Po powrocie do klasztoru w Nysie zapanowało wielkie zadowolenie i radość, bo znów odzyskano swoją własność i byliśmy ponownie w komplecie, razem. Szpica wojsk radzieckich, która doszła 29 stycznia do Nysy została odepchnięta przez niemiecką jednostkę pancerną aż poza Grodków. (Rosjanie popili wódki z rozbitej gorzelnii w Kopicach i stali się łatwym celem ataku) Nadal mało odczuwamy bliskość frontu. Jedyne to, że wraz z Br. Dionizym musieliśmy na zapleczu frontu kopać rowy strzelnicze (Reńska Wieś, Chróścina). Ale zawsze wieczorem byliśmy w domu. Trwało to aż do dnia 17 marca 1945 roku. Z Nysy dość spora część ludności wyjechała już w styczniu 1945. Po wojnie już do Nysy nie wrócili. Ci, którzy ewakuowali się w marcu 1945 do pobliskich Czech powrócili do swoich domów. I zostali następnie wysiedleni w latach 1945, 1946, 1947. Tamci pozostali w amerykańskiej strefie okupacyjnej.

W dniu 17 marca 1945 r. w godzinach popołudniowych, jednostki wojsk radzieckich podchodzą do Nysy strony Nowak, to jest od północnej i ją ostrzeliwują. W tym dniu, tj. 17 marca wspólnie z br. Dionizym okopujemy czyli maskujemy niemieckie samoloty znajdujące się na lotnisku w (Stephansdorf) w Radzikowicach k. Nysy. Ze względu na brak paliwa znajdowały się one na obrzeżach lotniska, część z nich były to samoloty ćwiczebne. Nad lotniskiem około godz. 10⁰⁰ zrobiło się po prostu piekło. Rosyjskie samoloty bombowe zaciekle bombardowały prawie całe lotnisko, a artyleria rosyjska zaczęła ostrzy ostrzał od strony Grodkowa. Zdecydowaliśmy się z lotniska uciekać do domu. Wtedy już można było zauważyć palący się dworzec kolejowy oraz dość liczne pożary w centrum miast. Kiedy wpadliśmy do domu były wielka krzątanina, wszyscy bracia schodzili do piwnic - do schronu. Od tego dnia całe życie nas wszystkich odbywało się w różnych częściach piwnic, i nigdy już nie spotykaliśmy się razem. Rozproszeni i w ciągłym strachu koczowaliśmy gdzie kto mógł. Prawie nieustannie bombardowano i palono miasto. W nocy zaś dudniła ciężka artyleria. Nie było światła i brakowało wody. Starsi nasi bracia zaczęli nie wytrzymywać nerwowo w tak ciężkich warunkach. Dla nas ludzi z gospodarstwa była dodatkowa trudność, polegająca na obsłudze całego żywego inwentarza. Najgorszy był brak wody. Inwentarz obsługiwaliśmy pod ciągłymi gwiazdami pocisków artyleryjskich, które przelatywały nad naszymi głowami. Jedzenie nasze to zimy i suchy prowiant. Jedliśmy w piwnicy pod kuchnią. Po stronie biblioteki byliśmy my (cywile) i trochę ludzi z zewnątrz, około 20-30 osób. Nasi bracia i ojcowie ulokowali się gdzieś bliżej furty. Klasztor posiada olbrzymie piwnice gdzie można było się ukryć. Byliśmy w wielkim strachu, co będzie dalej i kiedy skończy się to koczowanie. W piątym dniu oblężenia zaczęto mówić o ewakuacji wszystkich. Zachorował brat Edward. Chcieli za wszelką cenę wydostać się z tego piekła. Przyszedł do mnie br. Godfryd i wysłał mnie tej nocy, abym poszukał sanitarki wojskowej, która by ewakuowała z piwnic naszych chorych. Było to bardzo ryzykowne, ale i odpowiedzialne zadanie. Ryzykowne, dlatego, że żyliśmy na odcinku zaplecza frontowego, gdzie nie wolno było przebywać osobom cywilnym. Zadanie starałem się wykonać. Poszedłem do opuszczonych

już koszar wojskowych przy ul. Grodkowskiej. W jednej z piwnic tliło się światełko (świeczka). Słyszałem jęk rannych żołnierzy. Zameldowałem się sierżantowi i podałem, jaki jest powód mego przybycia. Sierżant sam czekał bezradnie na jakikolwiek środek lokomocji dla owych rannych żołnierzy. Doradził mi, abym udał się w kierunku frontu, bo tam samochody sanitarki zbierają wprost z frontu rannych. Określił mi drogę i kierunek, a było to pod naszym kościółkiem w lesie „Maria Hilf”. Poszedłem i tam pod drzwiami kościółka spotkałem sanitariusza i kilku rannych żołnierzy. Przyjęto to zgłoszenie, ale nikt nie mógł określić terminu przyjazdu sanitarki. Sanitariusz odesłał mnie do punktu centralnego, który znajdował się w klasztorze pod wezwaniem św. Krzyża. Po przeciwnej stronie miasta, odległy od „Maria Hilf” około 7 km. Poszedłem tam. Przed klasztorem Świętego Krzyża, wśród ciemnej nocy stała mała grupa ludzi ubranych w mundury Volkssturmu. Moje zgłoszenie przyjęli. W drogę powrotną udałem się przez rynek nyski, gdzie potężny ogień trawił kościół pod wezwaniem św. Jakuba. Była to chyba środa 21 lub 22 marca 1945 roku. Spłonął cenny zabytek nyski, który dzisiaj, po tylu latach ciężkiej i mozolnej pracy oraz olbrzymich kosztach, nie odzyskał już dawnej swej świetności. Po powrocie do schronu zdałem relację br. Godfrydowi. Nie wiem czy br. Godfryd zdawał sobie sprawę, z tej bardzo niebezpiecznej akcji. Uważam, że nie zupełnie, bo przecież nie narażałby mnie na takie niebezpieczeństwo. Zmęczony położyłem się trochę przespać. Za chwilę zjawił się ponownie br. Godfryd z br. Dionizym. Był to już wczesny marcowy ranek, a my we trójkę szykowaliśmy najlepszy wóz konny do wyjazdu z klasztoru. Około południa postawiliśmy wóz obok zakrystii i zakonnicy zaczęli znosić swoje osobiste rzeczy. Wóz znasz z podwyższoną skrzynią, przykryty dużym dywanem przypominał biedny tabor cygański. Dywan ten chronił nas od śniegu, wiatru i deszczu, a w nocy śpiącym na wozie dawał trochę ciepła. Późnym wieczorem tego dnia ruszyliśmy w drogę: br. Maurus, br. Joachim i ja. Jechaliśmy przez ostatni przejezdny most na rzece Nysie w kierunku Bukowa i Kałkowa (Bauke, Kalkau). Nie oddaliliśmy się zbyt daleko od Nysy, ponieważ czekaliśmy na resztę Braci. Na drugi dzień rano, posłał mnie br. Maurus rowerem jaki ze sobą zabraliśmy do klasztoru, abym zawiadomił naszych Braci gdzie się znajdujemy i, że czekamy na nich. Był piękny i słoneczny dzień 22 marca. W Nysie idealny spokój. Niebo czyste, bez samolotów, artyleria ucichła, jedynie czuć było smród dopalających się budynków. Ten spokój chyba uspokoił naszych Braci w schronach i bardzo ich zmylił. Po ostatnim w tym dniu moim spotkaniu z br. Godfrydem, odjechałem moim rowerem przez dziurawy most do Bukowa. Około godziny 22⁰⁰ tego dnia sowieci otwarli nad Nysą artyleryjski ogień zaporowy. Zdawało się, że ciężki walec toczy się w naszym kierunku tj., Bukowa, który oddalony jest od Nysy około 8-10 km. Trwało to około 2 godzin. Nysa została zdobyta przez wojska radzieckie. Nikt już z Nysy się nie wydostał. Czekaliśmy na naszych Braci jeszcze cały następny dzień, nie wiedząc o tym, że radzieccy mordercy dokonywali w tym czasie w klasztorze tak potwornej zbrodni na niewinnych, bezbronnych starszych ludziach. Następnego dnia tj. 26 marca, smutni i zatroskani ruszyliśmy w drogę w kierunku Jesennika, cały czas stawialiśmy sobie pytanie, co z naszymi Braćmi?. Dowiedzieliśmy się o tej zbrodni dopiero po wojnie: 20 maja 1945 roku.

Powrót do Nysy. Po dwóch miesiącach pobytu na tej tułaczce, musieliśmy opuścić naszego gospodarza w Jesenniku, który nas serdecznie gościł jak tylko mógł. U Niego mieliśmy spanie w domu na słomie. Dom ten był pełen uciekinierów. Dziwny to zbieg okoliczności, kiedy ów gospodarz - Kleinert, członek NSDAP przyjmuje ludzi w habicie, a nad naszymi głowami podczas snu, zamiast wisieć krzyż wisiał kolorowy portret Adolfa Hitlera. W pierwszych dniach maja 1945 roku spowodowałem zniknięcie tego portretu – nie przyznając się do tego. Nawet gospodarz nie wiedział kiedy. Tak było bezpieczniej. Gdzieś 15 lub 17 maja ruszyliśmy w drogę powrotną do Nysy. Po drodze dopieiliśmy do naszego wozu konnego wózek ręczny, należący do rodziny, która dużo pomagała naszemu klasztorowi. Nazywali się Jezusek. Żona i babcia w tej rodzinie bardzo pomagały w naszej pralni. Z Jezuskiem

pożegnaliśmy się w Głuchołazach, gdyż zmieniliśmy trasę, zamiast do Nysy udaliśmy się na Górę Św. Anny. Celowo pomijam opis pierwszego naszego spotkania w dniu 9 maja z hordami pijackimi wojsk radzieckich. Na pierwszy nocleg zatrzymaliśmy się w Mikulowicach w Czechach. Wtedy to, po krótkiej naradzie wzięłem rower br. Maurusa i pojechałem zobaczyć co się dzieje w Nysie, czy można tam wracać. Był piękny majowy dzień, na drogach pełno ludzi z wózkami ręcznymi, wozami i rowerami wracającymi z zachodu do na wschód do swojej ojcowizny. Ludzie rozbici i całymi rodzinami, z wielką nadzieją pokonywali setki kilometrów do domu, do Ojczyzny. Jadąc bardzo ostrożnie po 2 godzinach dojechałem do Nysy. W mieście nadal czuło się smród ognia, miasto nadal się paliło albo tliło. Do klasztoru doszedłem przeszedłem przez most kolejowy, inne były zniszczone. Z daleka widzę klasztor, nie zniszczony. Ucieszyłem się na widok ocalałego domu. Wszedłem przez otwartą furtę do wnętrza domu. Zdziwiła mnie ta pustka, nikogo nie spotkałem. Na terenie furty, korytarzu, bibliotece niesamowity bałagan, ślady plądrowania. Na podłodze leżały habity, różne meble, książki – wszystko porzucane. Straszny widok. Udałem się do kościoła, kościół był otwarty. W kościele nie było widać śladów plądrowania. Wyszedłem z kościoła w kierunku naszego gospodarstwa. Idąc obok cmentarza zauważyłem sporą górę świeżego żółtego piasku. Zacząłem się czegoś domyślać. Przeszedłem przez cały ogród aż doszedłem do gospodarstwa. W gospodarstwie na dobre zagospodarowali się sowietci. Brzydkie to dla mnie było odczucie, nieporządek, bałagan i brud. Na naszym boisku sportowym duże stado bydła,. W tym stadzie rozpoznałem i krowy należące do klasztoru. Stada tego pilnował pracownik klasztoru Max Horsch. Podeszedłem do niego i dowiedziałem się wszystkiego o zbrodni, o tym, co się w klasztorze wydarzyło. On nie pojechał z nami i przeżył front. Do klasztoru wracałem tą samą drogą. Stałem na chwilę przy cmentarzu, obok tej świeżej zbiorowej mogiły. Nigdy w życiu nie czułem tak głębokiego żalu, bezradności. Łzy potokiem cisnęły mi się do oczu. Przecież to było takie ohydne morderstwo. Do dnia dzisiejszego nie zapomniałem tego obrazu, ani też nie pozbyłem się żalu, żalu po ludziach, z którymi żyłem przez tyle lat, ludźmi niewinnymi. Dziś, kiedy się postarzałem, kiedy dużo spraw przeżyłem i przemyślałem często wracam na to miejsce. To przecież miejsce mojej młodości, miejsce gdzie spoczywają ludzie, dla których tak ofiarnie i sumiennie pracowałem. Kiedy wychodzę z tego małego i spokojnego cmentarza klasztornego, zawsze mam żal do losu który tak źle zarządził. Ja nawet nie zdążyłem moim dobrym Braciom podziękować, za wszystko dobro, które dla mnie uczynili. A przede wszystkim za to, że mogłem tę straszną wojnę tak szczęśliwie przeżyć. Po tylu latach nie zapomniałem ani jednego szczegółu z naszego wspólnego życia. Bardzo załamany wracałem do Braci: Maurusa i Joachima. Po drodze w Głuchołazach spotkałem jakież Ojca w habicie. Szedł pieszo do Prudnika do lasu zasiedlić klasztor franciszkanów. Podeszedłem do niego, a on mi próbował przekazać tak przykrą wiadomość o zbrodni dokonanej w klasztorze w Nysie. Wtedy usiedliśmy na parę minut. Dokładnie wszystko mu opowiedziałem i tak się rozstaliśmy. Po powrocie do Braci Maurusa i Joachima powtórzyłem, co widziałem w Nysie. Głęboki żal ogarnął nas wszystkich. I wtedy postanowiliśmy nie wracać do Nysy. Następny nasz postój był w Głuchołazach, tam otrzymaliśmy polsko-rosyjskie dokumenty od pierwszej polskiej władzy. Tam czekaliśmy dość długo, ponieważ w tym czasie sowietci przekazywali miasto pierwszemu polskiemu burmistrzowi. Przekazywanie miasta polegało na tym, że żołnierze radzieccy wynosili z mieszkań kosztowności, takie jak: pianina, maszyny do szycia, zegary, duże obrazy na ulice, a za chwile samochody wojskowe tą zdobyczą ładowały. Było to plądrowanie i okradanie miasta. Wtedy też zaproponowano mi pierwszą pracę w głuchołaskim magistracie. Odmówiłem zaproponowanej pracy, przecież nie mogłem w połowie drogi zostawić pojazdu, koni no i Braci: Joachima i Maurusa. Nasza dalsza podróż dalej szczęśliwie przebiegała. Następny nocleg był w Prudniku; oczywiście na naszym wozie. Dalej jechaliśmy przez Białą Prudnicką. Następnie nocowaliśmy już w dobrych warunkach z

dobrym śniadaniem w miejscowości Krobusz. I tak powoli zbliżyliśmy się do Odry. Długo zastanawialiśmy się jak przejechać przez Odrę. Most w Krapkowicach był pilnowany przez wartownika radzieckiego. Br. Joachim znał doskonale te tereny i proponował przeprawę promem, który był między Zimnicami a Kałami. W końcu udaliśmy się do Krapkowic. Stojący na moście radziecki wartownik zatrzymał nas do kontroli. Łakomym kąskiem dla niego był rower męski br. Maurusa, marki „Fuchs”. Zabrał nam ten rower, z uśmiechem na ustach, z karabinem i harmonijką na plecach biegł z tym rowerem do miasta i tak spokojnie mogliśmy przejechać Odrę. Na przekładni roweru była spora kłódka. On miał rower a Br. Maurus klucz.. Ruszyliśmy dalej. Mijamy Otmęt i kierujemy się do Malni. Zapanowała w nas radość, bo z daleka widzimy maszt a na nim trzepece biało-czerwona chorągiew. To pierwszy przystanek legalnej władzy - Milicja Obywatelska. Jakże myśmy się jednak zawiedli! Kazano nam wjechać na podwórko do kontroli. Kontrola polegała na tym, że po prostu wszystko nam ukradli. Ukradli nam rzeczy naszych Braci, którzy spakowali się w Nysie i do nas nigdy nie dołączyli. Z wielkim trudem obroniliśmy nasze osobiste skromne rzeczy. Zaczęły się między nimi a mną utarczki o jednego konia, który miał zostać na komendzie MO. Spór ten wygrałem i dalej ruszyliśmy przez Chorulę do Przywórow Opolskich. Chciałbym nadmienić, że na tych terenach pierwsza „Władza Ludowa” pochodziła z Czerwonego Zagłębia. Przez następne lata pobytu na Opolszczyźnie poznałem ich bardzo dobrze, dlatego zostawiam ich bez komentarza. W późniejszym czasie mieszkałem koło Malni (tam się ożeniłem), i ten posterunek był zawsze dla mnie ktopłą goryczy. Nareszcie dojeżdżamy do Przywórow Opolskich. W tej małej wiosce pod Oplem wielkie poruszenie i radość. Jesteśmy w domu rodzinnym Br. Joachima; gdzie już wszystko wróciło do normalności. Został jedynie żal w rodzinach, które potraciły swoich bliskich. Znane są te nadodrzańskie wioski, gdzie sowieci również rozstrzelali ich mieszkańców: Boguszyce, Zimnice i Chrula. W gościnnym domu rodzinnym Br. Joachima nie zostałem długo. Doprowadziłem się do jakiegoś porządku, przede wszystkim pozbyłem się tych uciążliwych insektów (wszy) i myślałem o powrocie do domu rodzinnego w Poznaniu. Bracia Joachim i Maurus mieli udać się na Górę Św. Anny. Wsiadłem do pociągu towarowego; przez Tarnowskie Góry - Ostrów - Leszno. Z przygodami dojechałem do Rawicza, był to drugi dzień Zielonych Świąt, 25 maja 1945 roku. Jako ostatni z mojego rodzeństwa szczęśliwie wróciłem do domu. A tu życie normalne, pokojowe, oszczędzono tym ludziom być świadkami końcówki tej ciężkiej, totalnej wojny, biedy i niedoli. To normalne życie nie trwało długo, bo po dwóch tygodniach wracam do mojej ukochanej Nysy, do moich bliskich. Postawiono mi warunek: albo idziesz do Armii Polskiej i ubierasz mundur wojskowy, albo jedziesz zasiedlać tereny Zachodnie. Wybrałem drugie!

Po powrocie do Nysy – koniec czerwca 1945 r.- z moim serdecznym przyjacielem – br. Marcinem – o czym już wspominałem - przegadaliśmy całą noc. Doszliśmy do wspólnego wniosku, że w klasztorze nie mam racji bytu. Klasztor mając tyle trudnych zadań przed sobą, nie zorganizuje nigdy gospodarstwa rolnego. Za duże zniszczenia w gospodarstwie poczyniła wojna. Budynki gospodarskie wprawdzie ocalały, ale bez inwentarza, bez wyposażenia. Wtedy podjąłem ostateczną decyzję mając 24 lata, że muszę opuścić znany mi klasztor - moje dawne miejsce pracy i zamieszkania.

Zacząłem drugi etap mego przyszłego samodzielnego życia, niekiedy bardzo trudnego. Nigdy nie myślałem, że Nysa będzie dla mnie (z małymi przerwami) miastem, z którym związę całe moje przyszłe życie i moją pracę. Jakże często wracam do starych moich ścieżek na Alei Wojska Polskiego, które dzisiaj obrosły mchem i zarosły chwastami. Często wracam myślami do klasztoru, mojego domu. Tam już nowi ludzie, nowe obyczaje, jednym słowem można powiedzieć, >że ci, którzy byli z nami, już dawno odeszli, a ci którzy zostali nie znają nas <. Myślę, że obecni ludzie nie przywiązują uwagi do tradycji, są po prostu inni, bo to przecież różnica wieku między nami. Jest to prawie 60 lat. Trudno się czasami przyzwyczaić do dnia dzisiejszego, jeżeli chcemy porównać lata 1940-1945. Wtedy biegło nam to życie wolniej,

pracowaliśmy na pewno ciężko, ale spokojnej, bez nerwowości. W klasztorze stać nas było na dużą życzliwość i wzajemną pomoc. Czasy, które przeżyłem w klasztorze w Nysie zaliczam do najładniejszych lat mojego życia.

Co dało mi tych parę lat w klasztorze? W czasie tej okrutnej wojny, byłem dobrze schowany pod skrzydłami franciszkanów. Ominął mnie szalejący terror wojny, nagonka elementów hitlerowskich. Ominęły mnie codzienne troski, jak np. jedzenie, odzież, czy też troska o moje zdrowie. Pracowałem, żyłem wśród dobrych, życzliwych, kulturalnych ludzi. Nauczyłem się dobrze języka niemieckiego, poznałem chociaż częściowo historię i kulturę obcego mi Państwa i Narodu. Dziękuję za to, że włożono dużo wysiłku w moje wychowanie; i to Franciszkanom się udało. Wdzięczny jestem za to, że potrafili tak to robić delikatnie i systematycznie. Za to wszystko, po tylu latach, darzę ich szacunkiem i pamięcią. Czy nasi Współbracia mogli uniknąć tej haniebnej śmierci? Po tylu latach nadal uważam, że tak. Jak już nadmieniałem wcześniej, można było po prostu opuścić Nysę. Przecież w Nysie skończyła się wojna 9 maja 1945 roku. Mogę jedynie zrozumieć, jak trudno ludziom, a szczególnie starszym opuścić dom i pójść w nieznanym kierunku, wtedy kiedy ze zdrowiem bywa różnie. I tu można zrozumieć O. Beno, na którym to ciążyła największa odpowiedzialność za dom i za starszych Braci. Na pewno nikt z tych Braci nie przypuszczał, że mogą mieć taką haniebną śmierć. O. Anzelm Piefke wspomina w swoich opowiadaniach, że sowietci zachowują się wzorowo w stosunku do księży i zakonników. My natomiast w Nysie mieliśmy odmienne zdanie. Zastanawia mnie to, dlaczego dokonano tego mordu na młodych Braciach. Braci Dionizy, Ferdynand i Kazimierz, to najmłodsi, którzy byli w tym czasie w schronach. To byli ludzie mówiący językiem polskim, a zatem istniała możliwość porozumienia się. Jest dużo pytań, które można sobie stawiać, ale nigdy nie znajdzie się na nie odpowiedzi. Zastanawiam się też nad tym, co by było ze mną, gdybym nie musiał tego pamiętnego dnia wyjechać? Czy znalazłbym okazję wtedy tym Braciom pomóc; tak bardzo chętnie bym to zrobił.

A teraz trochę dla odprężenia.

O. Anzelm pisze w swoich wspomnieniach, że podczas niewolniczej pracy u sowietów nie daleko od klasztoru, doszedł do niego sowiecki żołnierz. Był bardzo zadowolony, bo znalazł w klasztorze alkohol. Będąc mocno podchmielony zmuszał O. Anzelma, aby też skosztował tego trunku. Ten trunek rzeczywiście zrobiliśmy wspólnie z Braćmi Maurusem i Dionizym. Robiliśmy go w piwnicy obok centralnego ogrzewania, czyli tam gdzie było wojsko. Było to w listopadzie 1944 roku. Ja stałem na czatach i miałem w tym udział. Nie wiem gdzie butelkę z trunkiem schował br. Dionizy, że sowietci później znaleźli. Oczywiście nie robiliśmy tego często, najwyżej jesienią - z syropu. Ponieważ robiliśmy to bardzo rzadko, a ten trunek traktowaliśmy jako cenne lekarstwo. Na pewno w domu o tym nie wiedzano, poza naszą trójką.

Kończąc te wspomnienia po tylu latach, po tylu przeżyciach, starałem się odtworzyć wiernie wszystkie fakty, osoby i daty. Uważam, że dzięki mojej wiernej pamięci i dzięki temu że często myślę na temat tych przeżyć, mogłem pokusić się na napisanie tych wspomnień. Prawdopodobnie jestem ostatnim żyjącym świadkiem tych wydarzeń, a na pewno jeden z tych, który przeżył wojnę w Nysie a przede wszystkim przeżyłem oblężenie miasta. Byłem świadkiem niszczenia, palenia, plądrowania tego miasta, które po wojnie już nie odzyskało swojej dawnej świetności. Nigdy już nie będzie wspaniałą i zabytkową Nysą. Nie tylko miasto, ale i klasztor OO. Franciszkanów, nigdy nie osiągnie takiej świetności, jaką miał do samego końca wojny. Na to składa się dużo przyczyn niezależnych od OO. Franciszkanów. Ale nie tylko Nysa, bo przecież w 1999 i 2001 roku odwiedziłem znany mi klasztor w Wiedniu. Znałem go wcześniej i ma podobne problemy. Takie są zasadnicze różnice między dawnymi klasztorami a dzisiejszymi. Moim zdaniem duże klasztory, takie jak np. Nysa mają za mało Ojców i Braci. Małe klasztory, takie jak np.: Prudnik (w lasku), Goruszki, Kobylin, Osieczna zawsze miały małe stany osobowe. Czy franciszkanie są znanym Zakonem?

Franciszkanie są lubianym Zakonem. Zawsze oddziaływali pozytywnie na środowisko oraz na swoją parafię, tak przynajmniej było dawniej w Nysie i Goruszkach. Franciszkanów poznawali ludzie przez odpusty i przez kwesty.

Pragnę też w tym miejscu podziękować Ojcu Prowincjałowi doktorowi Błażejowi Kurowskiemu, za umożliwienie mi spotkania się z Franciszkanami przed kilku laty, na Górze św. Anny gdzie mogłem się moimi przeżyciami i wspomnieniami w braterskiej atmosferze podzielić.

Jan Szwarz
Góra Św. Anny, Kapituła Namiotów, 19-21 września 2002 roku

Spisał (wersja robocza) z rękopisu o. Ireneusz Bednarek
W nawiasach kwadratowych [...] dopisał we wspomnieniach – o. Ireneusz Bednarek
=====

Tekst wypowiedziany we wspomnieniach na żywo, poprawiał stylistycznie i rzeczowo wspólnie z P. Janem Szwarzem Ojciec dr Andrzej Walko

Nysa, dnia 21 czerwca 2005 roku